



Pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

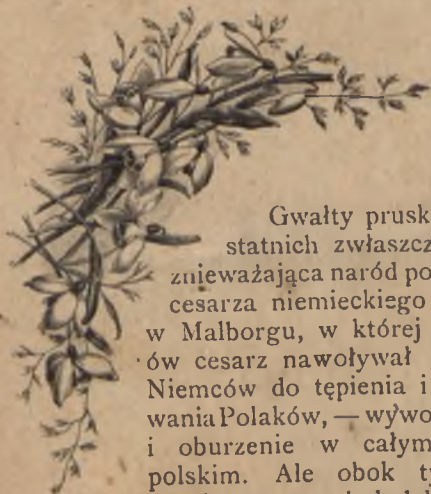
Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imlenia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

## Pogrom Krzyżaków w dniu 15-go lipca 1410 r.



Gwałty pruskie, a w o-  
statnich zwłaszcza czasach  
znieważająca naród polski mowa  
cesarza niemieckiego Wilhelma  
w Malborgu, w której to mowie  
ów cesarz nawoływał wszystkich  
Niemców do tępienia i prześlado-  
wania Polaków, — wywołały zgrozę  
i oburzenie w całym narodzie  
polskim. Ale obok tych uczuć  
wstały w sercach ludzkich i inne  
jeszcze. Przypomniano sobie czasy dawne,  
czasy szczęśliwsze dla nas, w których oręż

polski odnosił zwycięstwo nad zmiłą krzy-  
żacką. A wyrazem tych uczuć i wspomnień  
było uroczyste święcenie rocznicy bitwy pod  
Grunwaldem, w której połączone siły Polski  
i Litwy złamały potęgę Krzyżactwa. Naj-  
pierw Lwów, potem Kraków, dalej inne  
miasta nasze obchodziły tę rocznicę, jako  
święto narodowe.

Obchody owe miały wszędzie mniej więcej  
ten sam charakter. Składały się na nie so-  
lenne nabożeństwa, tłumne pochody rozmai-  
tych stowarzyszeń ze sztandarami przez ulice  
miasta, muzyka, śpiewy patriotyczne, przed-  
stawienia w teatrze patriotycznych sztuk;  
wieczorki deklamacyjno-muzykalne, a wreszcie  
hojne składki na cele narodowe, a w pierw-  
szym rzędzie na pomoc uciśnionym prze-  
niemców braciom. W samym Lwowie ze-  
brano np. w dzień obchodu 10 tysięcy koron.  
Komitet lwowski wydał nadto opis bitwy

pod Grunwaldem z powieści Henryka Sienkiewicza pod tytułem »Krzyżacy«. Nie ulega wątpliwości, że i czytelnicy »Zorzy« chętnie przypominają sobie obraz tej bitwy, skreślony piórem sławnego pisarza. Więc też gazetka nasza pośpiesza powtórzyć kilka głównych ustępów z owej książeczki. Oto one:

\* \* \*

Już serca w obu wojskach biły, jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Wtem wstał wichur. Zaszumił w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbili tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł, piszczałek i całe skrzydło litewskie zerwało się, nakształt niezmiernego stada ptactwa, do lotu. Poszli odrazu, wedle zwyczaju, w skok. Konie, wyciągnawszy szyje i potuliwszy uszy, rwały się ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń świętego Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

- »Boga Rodzica, Dziewica,
- »Bogiem wslawiona Marya!
- »U Twego Syna, Hospodyna.
- »Matko zwolona, Matko jedyna,
- »Ziści nam — spust winom!...
- »Kyrie Elejson!...

A zaś do polskiego hufca »czelnego«, w którym stali najprzedniejsi rycerze, wypadł, jak grom, Zyndram z Maszkowic, i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie przysiadły w pierwszym szeregu na zadach: — W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnawszy przed się włócznie, ruszyli.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już wszczyniała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalała w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń tryumfu:

»Christ ist erstanden!...«

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego. Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak,

rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk, chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas kłeski, mordu i rzezi, że już uciekających tylko przychodzi im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich krwawy zawód. Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojska polskie, na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się, jak lwy rozżarte, ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii, i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigły ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów, zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępienicy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły jeno osleple z przerażenia konie, bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy, i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął, i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem tryumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskami, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug. poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i ówdzie wypadał ze skrzytu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbiebiałą ze strachu i zdumienia, i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżało już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca prze-wódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że

cały ich ratunek tylko w mistrzu, który do-  
tychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu  
odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zro-  
zumiał także, że chwila nadeszła. i ruszył  
swe żelazne hufce tak, jak wichur porusza  
ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

\*

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią  
linją polską, która dotąd nie brała udziału

skie, złożone z konnych, ale nie pancernych  
ubogich władków, z piechot miejskich i naj-  
liczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny,  
w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztor-  
cem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym  
głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując,  
jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przy-  
wódcy.



JAGIEŁŁO HĄD ZŁOWROKACJI MISTRZA KRZYŻACKIEGO ULRYKA

w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku  
czuwający nad wszystkim i baczny na prze-  
bieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka  
rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich za-  
chwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale  
zawstydzona w porę, została na miejscu i rzu-  
ciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą  
bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową  
słabość. Lecz główne siły składały pułki pol-

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przy-  
chodzi na nich czas, pospierali drągi od dzid,  
cepów i kos o ziemię, i przeżegnawszy się  
krzyżem świętym, poczęli popluwać w pra-  
cowite ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linję to  
złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy  
broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał  
do Zyndrama pacholek z rozkazem od króla  
i szepnął mu coś zdyszonym głosem do ucha

a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro—waś Ma—ry—ja Łas—kiś  
peł—na Pan z To—bą!!!

I szli, jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy i kmiecie z Małopolski i Wielkopolski, Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbrzmiało od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jak krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbity się aż ku niebiosom.

\* \* \*

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadywał całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypl od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju. Nie puszczały go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Zóława chwycił za cugle konia, i choć król uderzył go włócznią po rękę, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nieopodal wzgórza, na którym stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać. Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski, Zbigniew z Oleśnicy, skoczył, co siły w koniu, do najbliższej chorągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a którą, rycerz, Mikołaj Kielbasa, przywodził.

— Król w obierzy! Na pomoc! — zawołał Zbigniew.

Lecz Kielbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwawioną myckę z głowy i pokazując ją gońcowi, zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Żali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla, zaczem ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę.

I niepomy z kim mówi, zziąjany, uniesion gniewem, zmierzył się istotnie na gońca, ów zaś widząc z kim sprawa, a co większa, że stary wojownik ma słuszość, skoczył napowrót do króla i powtórzył mu, co słyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana piersiami zastąpić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blisko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych, jak tury, koniach, nie oznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli, jak huragan, z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam wielki mistrz leciał przed nimi w białym szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr, wyglądał, jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy, stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla. Ale z pod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec, i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc się popisać odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopję i skoczył wprost na króla.

Król zaś spał ostrogami konia, i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byłoby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i rycerskiemu rzemiośle. Ten, mając złomek kopji w rękę, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwałił na ziemię. »W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabił go raczył«.

Tak zginał sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwycił kniaź Jamont, a on sam leżał, śmier-

telnie porażon, w swej białej jace na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zaszyły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze z pod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam mistrz zabiegł im drogę i krzycząc: »Herum! herum!« — zagarniał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi Chełmińskiej, między którym wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku. Jakiego się mistrz spodziewał.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięzkie i w którym rozgorzały serca polskie.

W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszemu kupom Niemców.

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbity się niespodziewanie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić, niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wichher, na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczył do mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał pobladłymi usty komtur Elbląga. — Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrział na niego ponuro i wzniosłszy rękę ku niebu, zawołał: »Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którym tyłu mężnych poległo! Nie daj Bóg!«

I krzyknawszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w wię bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa, i stał się taki zamęt, taki wir i kołowanie, że oko ludzkie nic już w nich różnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy;

wreszcie, pchnięty rohatyną w szyję, zwałił się, jak dąb, na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników litewskich pokryło go zupełnie.

\* \* \*

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wołało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy, wedle swego wojennego zwyczaju, w ogromne kolisko, i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą.

Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka, i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigwały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i okrze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni.

\* \* \*

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak straszniego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nietylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemce, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną »przednią straż« teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało sło-wiańskie.

Z siedmuset »białych płaszców«, przodujących, jako wodzowie, tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekiustym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackiem, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięzkie ręce Polaków. Nie została, nie ocalała się ani jedna, i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: »Bóg tak chciał.«

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy kłękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armja krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła tu ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pę-

tami na Polaków i winem, przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie.

\* \* \*

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na pobojowisko, gdy poczęli zwozić ciała poległych wozów. Litwini przynieśli skłóte sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało Wielkiego Mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki, leżące na wznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata.

Zaczem łzy zaczęły mu spływać, jak perły, po policzkach, i po chwili ozwał się znowu:

— Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczymy pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie wjeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przystoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Na wzgórkach koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonymi piersiami,

spoglądali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojone żęncy na zżęte i powięzane snopy. Cięzki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radośny wieczór.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzył jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

Zali cały Zakon tu leży?

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, narumianem niebie, wicherzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłosnie na widok żeru.

\* \* \*

I nietylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

\* \* \*

Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwala i cześć po wszystkie czasy!!

## — JAN KUBISZ —

POETA ŚLĄSKI.



Kazimierza Wróblewskiego.

Ta książka, to drogi dar, który składa z poza grobu ziemi śląskiej jeden z najzaciejszych jej synów, ś. p. Franciszek Górniak.

Ś. p. Górniak, rolnik z zawodu, założył był przed laty we wsi Sibicy pod Cieszynem fabrykę dachówek i cegieł. Obdarzony od natury wielkimi zdolnościami, człowiek niepospolitego serca i umysłu, Franciszek Górniak zdobył sobie w krótkim czasie szacunek, zaufanie i miłość w szerokich kołach. Fabryka rozwijała się z roku na rok coraz świetniej, zamożność wzrastała w domu, a światły jego gospodarz nie szczędził grosza na wychowanie drogiego dziecka, na potrzeby leciwych rodziców, ale szerzej jeszcze i szczerzej otwierał dłoń tam, gdzie chodziło o dobro ogólne, o przyszłość Śląska. Nie było dobrej sprawy, do którejby śp. Górniak nie przyłożył umię-

tnej i pracowitej dłoni, którejby nie poparł moralnie i materialnie.

I w ostatniej swej woli nie zapomniał o kraju rodzinnym, nad wszystko mu drogim. Uczynił też liczne zapisy na szlachetne cele, na poparcie wszelkich instytucyj, dążących do rozwoju polskości na Śląsku, a między tymi hojnymi zapisami przeznaczył także 2000 koron na wydanie w osobnej książce utworów poetycznych Jana Kubisza, rozrzuconych po rozmaitych pismach i gazetach. A czyn ów świecić będzie trwałym i jasnym blaskiem w szeregu zasług, które śp. Górniak położył dla współobywa-

siątkach lat ważniejszego zdarzenia w życiu narodowym na Śląsku, któreby nie znalazło w nich głośnego echa. To też nie podobna wyczerpać tu bogatej treści tych pieśni. O głównych więc jeno wspomnę Wam, drodzy Czytelnicy.

Polskość, wygnana z miast i pałaców, schroniła się pod strzechy wiejskie. Z pod strzechy wiejskiej wyszli też pierwsi odrodziciele Śląska, — wyszła cała inteligencja, która przoduje dziś społeczeństwu w pracy dla lepszej przyszłości. To też stan włościański zajmuje — i słusznie — jedno z pierwszych miejsc w Księstwie Cieszyńskim.



JAN KUBISZ.

teli. Bo pieśni Jana Kubisza to opowieść, szczerą i pełną miłości, o ziemi śląskiej: o jej krasie, krzywdach, bólach i nadziejach.

Serce poety tak się zrosło z krajem rodzinnym, że gdy śpiewa, wszystko inne znika mu z przed oczu. prócz ukochanego Śląska, w którym dziś obcy gospodarują, jak w domu, odsuwając od steru prawowitych dziedziców, skazując ich na poniewierkę i niedzielę.

Wiele zacnych myśli, wiele uczuć gorących zawarł Jan Kubisz w swoich pieśniach. Nie było w ostatnich kilku dzie-

A stan ów jest bardzo drogim naszemu pocię, synowi niezamożnego rolnika ze wsi Końskiej nad Olzą. Więc też zaraz na czele swej książki umieszcza większy utwór pod tytułem: »Dwa dni«, w którym opisuje dzień powszedni i niedzielny na wsi. Opis ów odznacza się prawdą i pięknnością, a życie rolnika, jego zajęcia i praca przedstawione są tutaj z ogromną miłością i niemal uwielbieniem.

Następny z kolei wiersz poświęca poeta dwudziestopięcioletniej rocznicy Czytelnicy Ludowej w Cieszynie, która to insty-

tucja odegrała wielką rolę w rozwoju uczuć narodowych na Śląsku.

Na uwagę największą zasługuje w tym utworze ustęp, w którym autor opowiada sam o sobie, co następuje:

»Dom mój ojczysty stał nad samym brzegiem Olzy, co swoim wartkim, srebrnym biegiem śpieszy równiną za Odrą daleką.

»I tu mi matka pierwszy pacierz kładła w serce dziecinne, tu mię abecadła uczył mój ojciec, a dziadus sędziwy uczył stać biegać na rodzinne niwy, zbierać i znosić kwiateczki ojczyste, uczył mię patrzyć w fale Olzy czyste, uczył wsłuchiwać się w słowicze śpiewy, uczył uważać na wiatru powiewy, pokazał niebo ojczyste i na niem ojczyste słońce, które, jego zdaniem, nigdzie tak jasno, tak ślicznie nie świeci, nigdzie takiego ciepła też nie nieci w stęsknionem sercu promieniami swemi, jako tu u nas, na ojczystej ziemi.

»A więc siał w serce owo złote ziarno, które, choć nawet chwasty je ogarną, silnym swym wzrostem chroniąc się zniszczenia, w złoty, stokrotny owoc się rozplenia.

»I to też, kiedy, jako ptaszę młode, co wylatuje z gniazda na swobodę, leciałem wolno — ojczyste konary rzuciwszy, w obce dalekie obszary; w długiej tej drodze nie zwichnąłem lotu: bo miałem siły dosyć do powrotu.

»Tak mię nauczał mój dziadus sędziwy, a gdy śnieg biały pokrył lasy, niwy, drzewa w ogrodzie i z kwiatami grządki, wtedy od starca biegałem do prządki. I kiedy warczy rączy kołowrotek, wtedy ojczystej pieśni słucham zwrotek, i słucham chciwie ojczystych powieści....

»A choć już wszystkie na pamięć umiałem, to przecież znowu i znowu słuchałem tych cudnych bajek o strachach i czarach, duchach zaklętych w podziemnych pieczarach, co skarby dają temu, kto ich pragnie, o tańczących nocnicach na bagnie, i o topielcach w głębokiej zatoce, i o strzygoniu, który w pewne noce odwiedza chaty i w okna łopoce, i o królewnie zaklętej w kościele i innych różnych, których bardzo wiele.

»Więc takim trybem zbiegł mi wiek dziecinny w mej ukochanej chateczce rodzinnej, i takie było moje wychowanie.

»To, co najświętsze, składało się na nie: dziadus sędziwy uczył mię miłości ojczystej chatki i ojczystych włości.

»A składał powoli po małej iskierce tę świętą miłość w pacholęcia serce, z której się jasne rozświeciły ognie, w których się człowiek hartując, nie pognie i pod nieszczęścia nie schyli się ciosem, jakie mu w życiu Bóg zapisze losem, ani się zegnien przed pokusą względów, ni się przed światem skłoni dla urzędów: niezmienny pójdzie cnoty twarzą drogą: zgiąć go nie zegną, lubo złamać mogą, a taka kłęska męża tylko szczyli!«

Tak poeta mówi o sobie. Jego strzeżły od wynarodowienia wpływy rodzinne, jemu cudna pieśń ludowa nie dała zapomnieć mowy ojczystej. Ale wieluż to z naszej młodzieży, która udaje się po naukę do szkół niemieckich, ginie na zawsze dla narodu, tonie bezpowrotnie w morzu niemieckiem! Dzieje takiego właśnie odstępcy, poeta kreśli wiernymi barwami w dłuższem opowiadaniu p. t. »Syn marnotrawny«. Tyle ma jednak miłości Ojczyzny w sercu, taką wiarą w szlachetność duszy ludzkiej, że i jego bohater otrząsa się w końcu z obcych naleciałości, porzuca ze wstrętem i nienawiścią obce bogi i wraca do rodzinnej chatki, aby poświęcić dalsze życie sprawie narodowej.

Radabym opowiadać i o wszystkich innych utworach śląskiego poety. A więc o znanym jego »Mojżeszu«, o wdzięcznych śpiewach »Starego Jakóba«, o wierszu na otwarcie gimnazjum polskiego w Cieszynie, na rocznicę Mickiewiczowską i wielu, wielu innych. Ale jakżeby się to wszystko zmieściło w gazetce? Więc już tylko króciutkie słowo serdecznych życzeń: Oby książka p. Kubisza znalazła się w każdym domu śląskim i budziła w czytelnikach, niby dobra mistrzyni, miłość Ojczyzny i zapał do pracy dla jej przyszłości. Będzie to najśłodszą nagrodą dla poety, który duszę swoją wypowiedział w takich oto wzniosłych wyrazach:

Widzę mą ziemię w postaci uroczej,  
Widzę ją śliczną, oblaną jasnością —  
I ukochałem ją taką miłością,  
Że tylko dla niej moje życie całe —  
Chcę żyć i działać na cześć jej i chwałę.

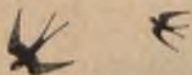
M. W.







## Do śląskiej młodzi!



Ziemia nasza, bracie młody,  
Śpi jeszcze, śpi jeszcze;  
Nad nią ciche szumią wody,  
Ciemny bór szeleszcze.

Bór szeleszcze, woda szumi,  
Ona marzy, marzy,  
Wróg tymczasem, jak to umie,  
A nas gospodarzy.

Więc ja, bracie, zbudź z uspienia,  
Niech już dłużej nie śni;  
Lecz jej w chwili przebudzenia  
Zanuć nasze pieśni!

Pieśni polskie nuć, by one  
Znowu przywróciły,

Długiem spaniem osłabione  
I zdrowie i siły.

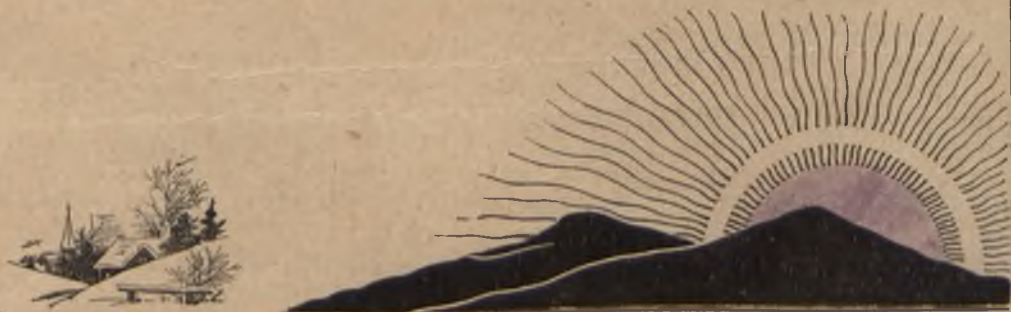
I niech pieśń się wszystkich tączy  
W jeden śpiew radośny,  
Niech to będzie śpiew skowrończy  
Nowej, przyszłej wiosny,

Gdzie nie pójdzie zasiew marno,  
A ojczysta niwa  
Tysiąckrotne wyda ziarno,  
Gdy nadejdą żniwa.

Toż to potem święto będzie  
We śląskim narodzie!

A młodź pójdzie w pierwszym rzędzie,  
Młodź pójdzie na przodzie.

I swych wielkich wieszczów pienia  
Zagrzmie z piersi całej;  
Wtenczas, wtenczas dzień zbawienia  
Zabłyśnie, wspaniały!





(Dok.)

## Cud na roli.



Dzień się skończył, szare chmury ciągną po niebie; noc zapada.

Od Makowca w tę porę Stach Schwalak gonił z trójką koni na paszę, jednego dosiadł.

a parę prowadził obok; konie sadziły rażno, parszkając w biegu. Stach podjechał do rowu, co żywo skoczył ze szkapy; powrozem spętał nogi swej trójki, puścił na paszę każdego konia oddzielnie; sam się otulił w sukmanę i legł w rowie, tuż naprost wierzby z obrazem Panny Częstochowskiej. Na taki widok porwała się kukająca dotąd na wierzbie sowa i uleciała w pola, a Stach wnet zasnął. Ścieżkami znowu od strony Kozanowa biegła przez pola kobieta, coś jej bardzo śpiesznie było, bo z zagona na zagon sadzi, a wiatr białą jej odzież rozwiewa. Przybiegła do wierzby, ogląda się — dzwoneczki dzwonią na wietrze, zdaleka tylko słychać parskanie koni w rowie. Spojrzała i w nocejmie wyraźnie się odbiła czarna, niezorana rola Biernata. Kobieta upadła na kolana pod wierzbą. łagodna muzyka dzwoneczków brzmiała, a ona modliła się gorąco.

»Zdrowaś Marja« — mówi — »błogosławionaś Ty między niewiastami«... Głośno wymawia słowa modlitwy, a ten głos jej z muzyką dzwoneczków się zlewa i dziwnie zakłóca ciszę nocną. »O święta Panno« — woła wzruszona — »módl się za nami teraz i w godzinę śmierci!« Spowiada się przed obrazem, wyznaje niedolę ojca, błaga o miłosierdzie....

Zniknęły chmury na niebie, księżyc wypłynął na błękity, roje migotliwych gwiazdek zajaśniały w nieskończonym przestworzu i światła te oblały kłęczącą przy modlitwie białą, jak posąg, niewiastę — Łuckę Biernatównę.

Wiatr wzruszał lekko dzwoneczki, tręcały one jeden o drugi, dźwięczały nieustannie.

Stach pod tę porę spał w rowie. I on miał także sen szczególny. Śniło mu się oto, że idzie z płachtą, przewiazaną przez ramię, że w tej płachtie ma bardzo dużo zboża i zasiewa niem ojcowską niwę. A tu w koło niego ludzie płaczą, wyrzekają gorzko, bo im brak zboża do siewu. Serce go boli, gdy słyszy takie biadanie; sam nie wie, co począć: dać im — to zuboży własną rolę, nie dać, nie pomódz biednym — to grzech znowu.

Taki sen jest bardzo męczący. więc się Stach przebudził. Ale cóż to?... Słyszy ulotnie pod obrazem słowa modlitwy błagalnej. Jest ktoś, co nie ma czem pola obsiać i Boga o zmiłowanie prosi i Matkę Boską wzywa, jako orędowniczkę. Podniósł głowę Schwalak; przygląda się, a tu światło bije od białej kobiety; wydała mu się tak jasną w owej chwili, jakby wszystko światło gwiazd i księżycy wzięła na siebie. Przeżegnał się mimowoli, mimowoli też powtórzył ostatnie słowa, które posłyszał: »O święta Panno, módl się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej«...

Stach powstał; coś go ciągnie pod wierzbę, i on ehciałby uklęknąć, — idzie jak senny... Zatrzymał się, poznał Biernatównę. Teraz i Łucka jego spostrzegła, porwała się i pobiegła przez pola. On za nią patrzył, patrzył, widział, że biała kobieta rozplywa się przed jego oczyma, że znika w kierunku chat.

\* \* \*

W Kozanowie przy zagrodzie Biernata już o świcie wróble pozasiadały na kółkach

plotu, kręcą się a gwarzą; na strzesze chaty z pod dymnika kot ku wróblom ciekawie spogląda, to okiem mrugnie, to się obliże, to ogonem pokręci. W sadzie za chatą słychać krzykliwy głos sikorki, a z sąsiedniego podwórza dolatuje to gęganie gęsi, to znowu, z nad strugi, skrzeczenie sroki.

— Wikta, wstawać! — zawołał Biernat, powstając ze snu; a podczas gdy poszeptywał słowa pacierza, przerywając sobie modlitwę, wykrzyknął znowu: »Łucka, a cożes ty dzisiaj tak strasznie zasnęła!«

Narzucił na siebie sukmanę i wyszedł przed chatę; spłoszył z plotu wróble, przylgł się do ziemi a niebu.

— Hm, deszczyk, widzę, przepadał wocy... Oj, gwałtu, ziemia się dzisiaj dopiero siewu doprasza. — Tak mówił Wicek sam do siebie.

Potem gwoli zwyczajowi włożył się po obejściu.

Nareszcie pośniadał i gotował się iść z Brzezulą do obórki; tutaj zawiązał krowie powróż na rogi, następnie wyprowadził bydło na podwórko i ciągnął je ku drodze.

Odtoczona od córki, Brzezula ryknęła całą siłą płuc swoich, Krasulka odpowiedziała jej głosem równie donośnym, a pełnym tęsknoty. Ta wymiana uczuć, sprawiła, że stara krowa nie dawała się wyciągnąć z podwórka na drogę. Gospodarz ciągnął w jedną stronę, Brzezula w drugą. Na to wszystko wybiegły z chaty Wikta i Łucka.

— Skądże ci się też znowu wzięła taka nagłość, człowieku! — zawołała Biernatowa. — Tać się wstrzymaj jeszcze dzień, dwa! I tak masz jeszcze pole pod siew niedoprawione; możesz bezpiecznie dzisiaj bronować, miasto tak siekać biedne bydło.

— Co ty tam wiesz! — rzecze Wicek, zniecierpliwiony opozycją krowy i obu kobiet.

— Może i wiem — powiada Wikta — Łucce się oto dziś obśniewało, jakby zesłanie boskie. Poczekaj jeszcze krzynę: Pan Jezus mocen dosyć okazać nam Swoją łaskę...

— A, kaj-sta, zatracona! — krzyknął Biernat, uderzając krowę łaską.

Ale Brzezula jeszcze się oparła i żadną miarą z obejścia ruszyć nie chciała. Chłop ciągnął, a choć miał dużą siłę w ręku, jednakże nie mógł krowie dać rady. Zaklął srogo, zebrał całą moc swoją i szarpnął; ale w tej chwili powróż pękł, Biernat padł na ziemię, jak długi, a Brzezula zadarła ogon i pędem pobiegła do obórki.

Wicek teraz plunął przed się, rzucił kawałek powroza na ziemię i zaniechał dalszej walki z upartą krową. Trzeba bowiem wiedzieć, że zarówno przerwanie się postronka, jak i upadek na progu chałupy, należą do rzędu bardzo złych przepowiedni.

— Jak już tak ma być, to nie pójdę! — rzekł Biernat. — Mnie samemu nijako na rzeź takie bydło prowadzić, bo widzę, że jest przywiązane do chałupy...

To powiedziawszy, zabrał się chłop do innej roboty około domu, a uszczęśliwiona Łucka niebawem wypędziła Brzezulę i Krasulkę na pastwisko.

Około godziny dziewiątej Wicek złożył brony, wziął je na saneczki, zaprzął gniadego i ruszył na swoją nieszczęśliwą rolę.

— Do sądnego dnia, widzę, przyjdzie mi orać, bronować, nawozić, a siać czem niema — mruczał pod nosem.

\* \* \*

Tymczasem w Markowcu, w chałupie Marcina Schwały od samego południa bardzo dużo krzątający. Przedewszystkiem sołtyska zaprosiła na ten dzień Schwalinę w kumy i baba musiała iść z dzieckiem do parafji. Schwałę także zaproszono na chrzciny owe, ale toby mu tam nic nie wadziło, poszedłby sobie wieczorkiem. Najwięcej kłopotu narobiła jedna z kobył, która się ożrebiła najniespodziewaniej; należało o matce i o dziecku pamiętać, a tu z drugiej strony znowu dziś właśnie ułożył sobie Schwałę, żeby jeszcze obsiać po nocnym deszczu półko przy drodze, naprost wierzby z obrazem Matki Boskiej. Zwykle obsiewał on pole własnymi rękami; ale jak tu dzisiaj pogodzić: chrzciny u sołtysa, przyjdzie na świat młodego konia i siew żyta? Rada w radę, stary postanowił, że Stach będzie siał, baba pójdzie zaraz na chrzest, a on, pozostanie w domu, aby czuwać nad maleńkiem źrebakiem i jego matką.

— Jedź na pole — powiada do Stacha. — Czas ci być gospodarzem, a siejba przecie nie żadna sztuka... Tylko mi się przyłoż, nie siej za gęsto, żeby się potem nie zbużyło, ale też i nie żałuj ziarna. Potem uczciwie zabronuj, bo-by ptaki mogły wyżreć zaraz o świtanie.

Stach się zastosował do postanowienia ojca: zaprzął do wozu parę koni, namierzył wór żyta, włożył go w półkruki razem z bronami i ruszył w pole. Zaledwie wyjechał z Makowca, a spojrzał ku drodze, obśadzanej drzewami, zaraz mu się przypomniało osobliwe zdarzenie; zamyślił się

o tem wszystkim nadzwyczajnie i Biernatówna ciągle mu teraz w głowie stała; nigdy jeszcze o tem nie myślał, że Łucka jest hożą i gładką dziewczyną, a w tej chwili ni ztąd ni zowąd to właśnie rozważał. Konie biegly, i widząc, że ich pan nie powstrzymuje, wyszły z bocznej drożyny na trakt główny, ztąd zaś przeszły dalej na drogę, która przylegała do roli Biernata.

Ocknął się nareszcie Schwalak, powstrzymał rażne koniki, rozpatruje się na prawo i na lewo, a potem mówi sam do siebie:

— Dyc to pole Wicka Biernata!... Ponoś on zbieśniał okrutnie, i bez to Łucka dziś nocą przybieżna tutaj pod obraz prosić o zmiłowanie... Osobliwość, że moje szkapska akuratnie na to pole przyszły! Ha, bydlę miewa takie przecucie!... Może Matka Boska wysłuchała Łucki... Zrządzenie Boskie!...

Zeskoczył Stach z wozu, zawiązał czemprędzej płachtę i obsiewał pole Biernata, a przypomniał sobie, że gdy spał nocą w rowie, pasąc konie, ta siejba mu się właśnie przysniła. Skoro się już tak wszystko zgadzało, więc wyraźnie znać było palec boży. I zasiał całą niwę, potem zdjął z woru brony i przeciągnął niemi po roli z wielką sumiennoscia.

Kiedy roboty tej dokonał, czuł w sobie jakies niezwykle szczescie; roześmiał się i miał ochotę dopuścić się jakiej pustoty. Spojrzał na wierzbę z obrazem i znowu przejęto go dziwne uczucie, potrzeba czci: ręka jego sięgnęła po czapkę, głowa się obnażyła, a Stach mimowoli powtarzał słowa, które w nocy posłyszał od Łucki: »Święta Panno, zmiłuj się nad nami teraz i w godzinę śmierci naszej«.

W worze pozostawało jeszcze nieco żyta: Stach skrecił z wozem na pole ojcowskie, i tą resztką obsiał je bardzo rzadko.

Nadeszła niedziela i do kościoła parafjalnego przybyła ciżba ludzi, a między nimi wielu z Kozanowa i z Makowca. Po sumie wylegli wszyscy przed kościół, ustawili się gromadkami, gawędzili o tem i owem, wyszła też z kościoła i Łucka Biernatówna, stanęła pomiędzy dziewczynami, wdała się w rozmowę, a potem wraz z innemi zdążyła ku Kozanowu.

Podchodzi do niej Schwalak i wręcz zagaduje:

— Mam ci coś powiedzieć, ale tego nikt więcej słyszeć nie może.

Więc dziewczyna spłonęła ogniem, a inne tylko zachichotały i poszły dalej, zostawiając Łuckę se Stachem.

— Słyszałem na własne uszy — powiada Stach — jakieś się o północy modliła tam przy drodze do obrazu Matki Boskiej.

Łucka jeszcze bardziej spiekła raki, spuściła oczy i nie wie, co na to powiedzieć. On znowu zaczyna:

— Wstydu stąd dla ciebie niema żadnego; chciałem ci jeno powiedzieć, że cię Matka Boska wysłuchała: uczyniła to, o coś prosiła... Za czas jakiś idź na pole swego tatunia, popatrz dobrze, a zobaczysz, że piórka oziminy powschodzą pięknie, bo wszystko uczciwie posiane...

Dziewucha spojrziała teraz na chłopaka tak dziwnie, jakby chciała powiedzieć:

— Czy ty, Stachu, aby nie drwisz ze mnie?...

On zgadł te jej myśli i mówi znowu:

— Sprawiedliwie powiadam, jak mi Bóg miły! Pole całe rzetelnie obsiane, sam Biernat lepiejby nie zrobili.

Tak Łucka ze wszystkiego już widziała, że Stach szczerą prawdę mówił i musiała mu uwierzyć.

Jak tylko do chałupy wróciła, upatrzyła sobie taką chwilę i zaraz się przed matulą wyspowiadała, jeno o Stachu Schwalaku ani jednego słówka nie pisnęła. Matka w pół wierzy, w pół nie wierzy; ale Łucka precz dowodzi, że pole niezawodnie jest żytem obsiane.

Nazajutrz Biernat postanowił sobie niezłomnie popędzić Brzezulę do miasta. Przygotował dobry powróż, wziął w rękę ciętą witekę i wyprowadził krowę z obórki, kiedy niespodziewanie żona i córka wypadły z chałupy, stają mu na drodze, a Wikta pierwsza zaczyna:

— Nie róbże, Wicek, krzywdy wielkiej sobie, nam i bydlęciu!... Niechże ci się odechce tego sprzedawania!...

— A jakże! będę was słuchał, bajdy! Dobrzebym wyszedł! Na przyszły rok z gliny chyba będziemy chleb jedli!

I ciągnął bydlę na drogę, z tyłu za witeką poganiał. Dopiero teraz Łucka nabrała ogromnej śmiałości, idzie przed samego ojca i rzecze:

— No, a co będzie, tatuniu, jak w waszej roli żyto już leży? Żeby jeno pogoda dopisała, zobaczycie, że ślicznie powschodzi.

— Cóż, ty chcesz, widzę, ze mnie głupiego zrobić? Kiedy sama nie masz rozumu, to choć drugich nie ogłupiaj.

— Wierzysz ty, stary, że Pan Bóg mocen jest cud zrobić? — zapytuje Wikta.

— Idźcie mi zaraz do chałupy, kołowate owce! — zawołał Biernat. — Bo jak mnie pod-

leci, tom jeszcze gotów której tą witką co przylepić... Co one bredzą? Czym ja to, biedny chłop, godzien tego, żeby Pan Jezus cud nademną okazywał. Grzech nawet o takich rzeczach mówić.

— Możecie i godni — odzywa się Łucka — z kąd wy wiecie? Ja wam jedno powiadam, tatuniu: Nie marnujcie napróżno bydłęcia, bo nasze pole zasiane, jak mi Bóg miły!... Przysięgnę wam na wszystko, kiedy chcecie.

Łucka przemawiała z taką pewnością, że się Biernat teraz zastanowił.

— Gdzieżby ona śmiała przysięgać na imię boskie, gdyby czegoś takiego napewno nie wiedziała? — myślał sobie.

Jednakże nie wypadało mu się cofać z krową: podciął ją witką i wyszedł za kółwrót.

— Coś w tem jest — myślał w duszy.

Zamiast iść do miasta z Brzezulą, poszedł na swoją rolę. Przybywa tu, zaczyna w ziemi gmerać. Jezus, Marja, Józefie święty! znajduje precz ziarna żyta napęczniałe, grube, — aż miło. Jakiś czas grzebał rękami

w jednym, drugim zagonie i wszędzie znajdował żyto.

— Juści wyraźny cud! — rzecze. — Nie zasiała tu tej roli ręka ludzka...

Przejęto Biernata dziwne uczucie, zdjął z głowy czapkę, klęknął na środku swojej roli, wznosił w górę oczy, zaczął odmawiać na głos »Ojczy nasz«.

— »Chleba naszego powszedniego« — mówił — »daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy«...

W październiku pięknie się zaruniło na roli Biernata, który chodził teraz po swoich zagonach, mając duszę pełną czci uroczystej; zawsze się żegnał tutaj i zdejmował czapkę.

Rozniósł się po okolicy cud na Wickowej roli i cudem tym zabłysnęła stara wierzba, cudownym stał się obrazek pod daszkiem z dzwonekami.

Dziś już nie żyją starzy Biernatowie, ani starzy Schwałowie; ale na obu tych rolach bardzo mądrze gospodarzą — Stach Schwała i żona jego Łucka, z domu Biernatówna.

Adolf Dygasiński.



## Odpust we wsi Wiśle \*)



W przedziwnie pięknym otoczeniu wznosi się kościółek katolicki na Wiśle. \*\*) Wśród gór stoi; okrągłym okiem frontu patrzy w twarz jasno zielonej Bukowej; na lewo — od zachodu — ma na straży piórami lasu oskrzydloną Czajkę, — z południa Szniura osłania tylną jego ścianę

\*) Opis niniejszy drukowany był przed paru laty w innym piśmie, na żądanie Czytelników powtarza go teraz »Zorza«.

\*\*) Pięćtysięczna ludność górskiej wsi Wisły, położonej u źródeł rzeki Wisły, należy w ulbrzymiej większości do wyznania ewangelickiego. Szczupła garstka

gotycką kolumnadą świerków, piętrzących się na jej zboczu, a pod wschodnimi oknami ściele się urocza dolina, jasną żyłą młodej Wisiełki przerznęta.

W przedziwnie pięknym otoczeniu wznosi się kościółek katolicki na Wiśle!

A sam wśród bujnej, żywej natury, — zdaje się spać snem zaklętym, jak legendowi z pobliskiej Czantorji rycerze. Dzwony jego nie grają do wtóru piorunom ani wichrom górskim, nie łączą swego głosu z poszumem lasów, śmiechem potoków; blado martwych ścian nie rozgrzewa modlitwa

Wiślan katolików nie jest więc w stanie utrzymać swoim kosztem miejscowego proboszcza i w zamkniętym przez cały rok kościele katolickim »na Wiśle« — jak mówią górale ślączy — nabożeństwo odbywa się jedynie w dni uroczyste, z których najuroczyściej obchodzonym jest dzień 15. sierpnia, — święto Matki Boskiej Zielnej.

z żarliwych ust, zachwyconej piersi płynąca. I tylko wówczas, gdy blask księżycowy za-  
leje góry, a nad Wisłą poczną przesuwac  
się bez szelestu mgły, — tajemniczy kościo-  
łek zdaje się nabierać fantastycznego jakie-  
goś życia, zdaje się odrywać od ziemi, wy-  
dłużać, posuwać, a jego wąski, zaostzony  
w wieżycę front majaczeje na tle smereków,  
jak białe widmo...

Nagle, ni stąd ni zowąd, pewnej sier-  
pniowej niedzieli, »na odwieczny słońca«,  
ożył naprawdę — przemówił!.. Głos jego  
zabrział jakoś dziwnie, jakby się rwał  
z ust niemego, jakby dźwięki jego tłumiła  
krepą długiej żałoby...

Wtem czujne echo górskie pochwyliło  
dalekie dźwięki chóralnego śpiewu. — Naj-  
piękniejszą z dolin, doliną Kopydła, burzli-  
wego potoku, wpadającego powyżej do Wi-  
sły, ciągnie jakaś k'o mpanja i śpiewa  
hymn na cześć Bogarodzicy. Oto już wy-  
suwa się z za potężnych głazów gronia Skal-  
nitego długim, barwnym węzłem. Głowę jego  
tworzy intonujący pieśń »wódca«, pierwsze  
pierścienie — mężczyźni, ostatnie — kobiety.  
To pobożna Izdebną śpieszy tak licznie, stroj-  
nie i okazałe aż od węgierskiej, hen, granicy.  
Hoże, wdzięczne góralki stąpają lekko  
w »miałuchkach« kyrpcach, zdają się unosić  
w powietrzu, jak gołębice, w białych bufia-



Kościół w Wiśle.

Dał hasło, zawołał: »Je-stem!« i ścichł.  
Ale nie nadługo!

Nazajutrz słońce, wychylając się z poza  
Kamiennego gronia, ujrzało ruch niezwy-  
kłych przygotowań na bezludnym zwykle  
placyku. Potem ozwały się dzwony, zawsze  
jakby pękniętem sercem przemawiające, a na  
ich wezwanie na wszystkich drogach i ścież-  
kach ukazywać się zaczęły postacie ludzkie.  
Płynął ludek boży z gór i dolin, z dzielnic  
Wisły, na kilku milowej rozrzuconych prze-  
strzeni, płynął z miast i dalekich wiosek.

stych swoich kabatkach. W rękach trzymają  
pęki wonnego zioła, koronki i książki do na-  
bożeństwa. Misternie, w kilkanaście »wojek«  
zaplecione warkocze dziewcząt zdobią wstążki  
jaskrawo czerwonej barwy, zwieszające się  
aż na czarne, krótkie, suto marszczone spod-  
niczki. Mężczyźni, wysokiego wzrostu, smu-  
kłej, a silnej budowy ciała, podobni —  
w obcisłych strojach — do starożytnych po-  
sagów, nie mają na głowie czapek, — jak  
zwykle przy modlitwie — i łagodny oddech

gór czesze im bujne włosy, przystrzyżone nad brwiami, opadające na szyję.

Im bliżej celu, tem dźwięczniej brzmią głosy pątników w przejrzystem powietrzu. Stanęli nareszcie u murów świątyni, opasali ją ruchomym pierścieniem ciał, jeśli wchodzić do wnętrza i zamarli na chwilę pod wrażeniem salwy moździerzowej, wspaniałem echem biegnącej po szczytach gór. Czajka pierwsza pochwyciła huk wystrzału i odrzuciła Bukowej — tamta podała Krzywemu, a pyszna Czantorja poniosła w stronę Piastowej stolicy.

Zaledwie przeciągły grzmot uciął gdzieś w aksamitach łąk, zabrzmiały dźwięki kapeli, zwiastując przybycie procesji z Ustronia.

Idą już, idą!

Na czele procesji zbożne jakoweś dłonie niosą wysoko, na sążnistem berle zawieszony wieniec z róż czerwonych i białych. Znać, że idą z pokłonem do Marji Dziewicy, Królowej Korony Polskiej. Dalej płyną w kryształowem powietrzu czerwone chorągwie: jedna, dwie, jeszcze dwie i znowu jedna — płyną miękko, cicho, niby fale szeroko wylanej krwi. U chorągwi skupia się kapela górnicza, a mosiężne narzędzia muzyczne błyszczą, jakby rój dobných słońce spadł na lud roboczy, co tak rzadko słońce oglądać może. Od ciemnej odzieży grajków i innych mężczyzn pięknie odbijają stroje kobiet, zamykających pochód, a ubranych po »cieszynsku«, w ciemno wiśniowe suknie z szafirowem u dołu bramowaniem i aksamitne, złotem i srebrem wyszywane żywotki (gorsety), z poza których błyska śnieżny gors i widać krótkie rękawy kabatka.

Śpiew i muzyka przeplatają się wzajemnie. Trąby grają głośno, wyraziście. Słychać w ich mosiężnych wargach okrzyki żywej piersi ludzkiej, słychać prośbę korną, żałosną, a tak rzewną, że chyba nie o sam tylko chleb dla ciała prosząca...

Na spotkanie w procesji pośpiesza od kościoła kapłan w białej komży z delikatnej koronki, — w birecie. Przed nim stąpa z zapaloną świecą małe chłopię, przybrane czerwono, zdaleka do bożej krówki podobne.

Olbrzymiej ciżby nietylko nawy skromnej świątyni, lecz i otoczony sztachetami plac nie obejmie. I wnet pod naciskiem tłumu wyskoczyły z zawias wrota i część pobożnych rozsypała się po Szniurze, malarzkie tworząc grupy na stokach góry, pod zielenią nieruchomych, zasłuchanych smereków.

Z mownicy, czerwono i biało przybranej, a wzniesionej pod bezbrzeżnem sklepieniem bladego błękitu, przemawia kapłan. Wspaniała ma świątynię do głoszenia nauki Ukrzyżowanego, — nauki, miłością ogarniającej świat...

\* \* \*

Nabożeństwo skończone. Ostatnie strzały moździerzowe żegnają odchodzących Pierwsza Izdebną śpieszy w domowe progi z pieśnią »Serdeczna Matko«, śpiewaną na nutę »Boże coś Polskę«. Za jej przykładem idą inni. Tłum rozprasza się, uchodzi, jak krew z otwartych żył — a biały kościółek zapada znowu w mrok, ciszę, sen...

M. Wystouchowa.



ROZMAITOSCI

**Uroczystość grunwaldzka.** Nie myślę weale podawać w tem miejscu opisu z setek obchodów rocznicy bitwy pod Grunwaldem, które odbywały się po wszystkich miastach i miasteczkach w drugiej połowie lipca, bo te opisy nie zmieściłyby się nawet w »Zorzy«. Chęć jeno wspomnieć o paru obchodach, w których lud wiejski brał najliczniejszy udział.

W Zakopanem dnia 21. lipca z braskiem dnia strzały moździerzowe obwieściły mieszkańcom święto narodowe, rocznicę pogromu Krzyżactwa pod Grunwaldem. O godzinie 6 rano orkiestra, złożona z górali miejscowych, przeciągając ulicami, odegrała pobudkę. Przed 9-tą zebrały się instytucje miejscowe, korporacje i stowarzyszenia, a o 9-tej ruszyły w pochodzie do kościoła.

Pochód otwierała banderja, czyli oddział konny górali, dalej szła orkiestra, z górali złożona, za nią długi szereg ochotniczej straży pożarnej z Zakopanego, działwa szkolna, człon-

kowie stowarzyszenia „Gwiazda“ w Zakopanem ze sztandarem, następnie „Sokół“ zakopiański, „Czytelnia“, orkiestra „Harmonji“ z Krakowa, straż ochotnicza pożarna z Kuźnic, górale miejscowi i okoliczni w liczbie kilkuset, młodzież szkół średnich, członkowie rady gminnej, wreszcie liczna publiczność. Pochód zamykał oddział straży pożarnej z Poronina. Pochód przeszedł ulicę Jagiellońską, Przecznicę i Krupówki i stanął o godzinie 10-tej w kościele. Na ulicach, któremi szedł pochód, zebrała się licznie publiczność. Podczas posuwania się pochodu strzelano z moździerzy.

W kościele, przepełnionym publicznością, odprawiono uroczyste nabożeństwo, po którym jeden z miejscowych księży wygłosił patriotyczne kazanie. O 5-tej popołudniu wygłosił prof. Piekosiński w sali turystów odczyt. Wieczorem zamiast iluminacji widać było na oknach wili i domków góralskich kartki; dochód z rozsprzedaży tych kartek przeznaczono na tow. Szkoły ludowej dla obrony zagrożonych kresów. Urządzeniem obchodu zajmował się komitet z góraliem Maciejem Gąsienią, jako przewodniczącym.

Poronin dnia 20. lipca od rana przybrał szaty odświętne. Prawie wszystkie domy umajono, a niektóre gustownie przebrano, a gospodarz tutejszy i właściciel sklepu, Franciszek Orawiec, ładny na frontonie swej wili wystawił transparent. O godzinie 10-tej napelnił się kościół poroniński liczną kolonją letników, miejscową strażą pożarną i góralami. Po nabożeństwie udano się do wielkiej sali nad Kółkiem rolniczym. Rozległy się poważne tony hymnu: „Boże, coś Polskę“, poczem p. Buła, akademik krakowski, syn górala, popularnie wyłożył zebrany znaczenie bitwy grunwaldzkiej i cel uroczystości. Z pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła!“, opuścili salę zebrani.

Wieczorem zajaśniała świetna iluminacja. Nawet chałupy góralskie były oświetlone. Przed Kółkiem rolniczym palono ognie sztuczne, a na górzecie śpiewano pieśni patriotyczne. Wreszcie zapłonęły ognie na „Łosiówkach“, „Galicowej Grapie“ (skąd najpiękniejszy widok na Tatry) i na innych wzgórzach.

W Rabce obchód odbył się 16. lipca. Udział w uroczystości brali rodacy ze wszystkich trzech dzielnic Polski.

O godzinie 7-ej rano odegrała muzyka pobudkę. O godzinie 10-ej odprawił proboszcz

w asystencji duchowieństwa uroczyste nabożeństwo. Następnie odbył się uroczysty pochód ulicami Rabki do groty Matki Boskiej, dla złożenia wienca i kwiatów. Pochód otwierał pluton straży ogniowej ze sztandarem w mundurach, złożonej z miejscowych górali, następnie dziatwa szkoły ludowej, kolonja wakacyjna chłopców, dziewczątka w bieli, noszące wieniec i kwiaty, panienki ze szkoły gimnastycznej p. Kuczalskiej, następnie młodzież szkół średnich z Królestwa i Galicji w mundurkach, młodzież akademicka i bardzo liczny zastęp publiczności. Pochód zamykał pluton straży ogniowej. Ogółem około tysiąca osób. Dzieci szkoły ludowej, kolonisci wakacyjni, panienki i młodzież szkolna, śpiewali naprzemian pieśni religijne i patriotyczne. Najdawniejsi mieszkańcy Rabki i jej góście nie pamiętają uroczystości tak wzruszającej.

Wieczorem o godzinie 8 odbył się w sali, szczelnie natłoczonej, wieczorek muzykalno-wokalny, na którym wiersz patriotyczny pod tytułem: „Katechizm polskiego dziecka“, wygłosiła 8-letnia Wiktusia Wójcik, góralka, uczennica szkoły ludowej.

**Pięćdziesiąta piątą rocznicę stracenia** Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapusińskiego Lwów święcił dnia 31. lipca ze zwykłą uroczystością. Wspaniałe wypadło wieczorne zebranie na górze stracenia, a pieśni patriotyczne, śpiewane przez olbrzymi tłum, były w bezchmurne niebiosach, jako wspaniały hymn na cześć Ojczyzny i jej męczenników. Przypominam przy tej sposobności, że „Zorza“ pisała szczegółowiej o tej uroczystości narodowej w sierpniowym numerze z roku zeszłego.

**Oświata a lud polski.** Żadne gimnazjum nie może poszczycić się tak wielką liczbą uczniów włościan, co gimnazjum polskie w Cieszynie, w którym uczyło się w roku ubiegłym 106 dzieci włościańskich, a 44 synów robotników.

